



Kryminał z myszką

3



VA

XA

RA

Witold  
Zechenter

Witold Zechenter

AVAXARA

Kryminał z myszką – Tom 3

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-59-5

Copyright © Elżbieta Zechenter-Spławińska

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

## SPIS ROZDZIAŁÓW

Pół miliona franków

Ogłoszenie

Precz z kortaklizmem

Na drutach telefonicznych

4089-X-76 i 1778-V-08

Gwizd lokomotywy

A. V.

Piekło

Więc o trzeciej! Na pewno!

Cztery!

Gdy śpiący się obudzi

„Pod świnią z mleka”

Dialogi przed godziną piątą

Wiem!

Nic nie wiem!

A. V. = Alfred Very

Dialogi bankowe

„Ve...s...ł.ci...mili...”

?

11, rue du Havre

Jestem!

Śmiech zbrodniarzy

„Avaxara”

Gdy wszystko się wyjaśnia

Epilog

## Pół miliona franków

Na odgłos dzwonka wszedł woźny.

– Proszę zawołać do mnie pana Very.

Dyrektor wielkiego banku paryskiego, Juliusz de Vadatte, niecierpliwie bębnił palcami po brązowej teczce z zieloną bibułą, którą zdobił wypisany złotem w prawym rogu znak: *BPPB – Banque de Paris et des Pays-Bas*. Z papierośnicy wyjął „Turmacz” ze złotym ustnikiem – dyrektor de Vadatte miał słabość do dobrych papierosów.

Gdy usłyszał kroki w przedpokoju, dzielącym jego gabinet od gabinetu pierwszego sekretarza i hali stenotypistek, nerwowo potarł ręką łysinę.

Zapukano.

– Proszę.

Pan Very, młody urzędnik bankowy, który szybko zaawansował dzięki niezwyklej sumienności i pracowitości, wszedł do gabinetu i na zaproszenie dyrektora usiadł w fotelu obok biurka, patrząc spokojnie swymi czarnymi oczyma.

– Proszę pana – zaczął dyrektor – po tych kilku dniach naszej współpracy – doprawdy – nie chce mi się wierzyć...

Słowa przychodziły mu z trudnością. Nerwowo zaduszał niedopalony papieros.

– O co chodzi, panie dyrektorze? – zapytał Very łagodnie.

Dyrektor poprawił się w fotelu i jak by sprowokowany zachowaniem się urzędnika, wpatrzywszy się w niego rzekł twardo:

– O pół miliona franków!

Pan Very patrzył nań współczująco.

– Nie rozumiem.

– Wczoraj po południu przeprowadziłem rewizję pańskich ksiąg – rzekł dyrektor de Vadatte i westchnął.

– Co?

Ręka urzędnika silnie ścisnęła rzeźbioną poręcz fotela.

– Wydało się to wszystko wczoraj – mówił dalej dyrektor – czek wystawiony na sumę 125 tysięcy...

Pan Very był zupełnie blady.

Dyrektor de Vadatte westchnął znowu.

– Zresztą po co będę panu tłumaczył. Pan wie najlepiej. Wydało się to wszystko i dobrze dla pana, że wydało się wczoraj, gdy suma ta wyraża się cyfrą pół miliona franków, a nie jeszcze wyższą... Rozumie pan moje położenie. Powiniennem właściwie zawiadomić o tym – no, pan wie sam – policję... ale naprawdę nie mam sumienia zrobić czegoś podobnego... Wie pan przecież jak bardzo pana lubiłem; wie pan, że przez tyle lat był pan dla mnie nie tylko moim urzędnikiem, ale – jak by to powiedzieć – no, po prostu moim młodym przyjacielem... A poza tym nie chciałem, żeby to wydostało się na zewnątrz. Nie chciałem i ze względu na pana, i ze względu na opinię naszego banku. Byłoby pisanie w gazetach, skandal... Muszę się liczyć z psychologią moich klientów. Nie mogę zrażać akcjonariuszy ani tych, którzy z całym zaufaniem powierzają nam swoje, nieraz tak ciężko zapracowane, oszczędności. Wolę więc załatwić to z panem w cztery oczy. Pół miliona franków wziął pan z pieniędzy bankowych. Klientów naszych ograbić nie można. Sumy tej bank sam pokryć nie może. Któż więc wyrówna te pół miliona franków?

Dyrektor de Vadatte spojrział na urzędnika. Urzędnik spojrział na dyrektora i spuścił wzrok. Ale dyrektorowi zdawało się, że w czarnych jego oczach wyczytał to samo zapytanie: Któż więc wyrówna te pół miliona franków?

Wobec tego rzekł:

– No, tylko pan!

Very wzruszył ramionami:

- 125 tysięcy franków – te wczorajsze – mam jeszcze przy sobie... ale reszta...

Wykonał ruch, wskazujący, że franki mają tę dziwną właściwość rozplywania się i znikania.

- Więc musi pan – rzekł dyrektor – jakoś wystarać się o nie, ażeby zwrócić bankowi.

Very wstał.

- Proszę zawiadomić policję – powiedział.
- Jak to?
- Proszę zawiadomić policję.
- Ależ mówiłem panu...
- Wdzięczny jestem panu, panie dyrektorze, za to, że pan chce mnie jeszcze ratować, ale to na nic się nie przyda.
- Dlaczego?
- Dlatego, że nie mam skąd oddać pozostałej sumy.
- Ależ ja nie żądam jej dzisiaj, natychmiast!
- Więc jutro?
- Ależ, panie Very! Chcę panu dać termin – możliwie jak najdłuższy – aż do najbliższego zebrania właścicieli, na którym musi być podany dokładny stan kasy. Zebranie to odbędzie się za cztery miesiące.
- Więc pan sądzi, że ja za cztery miesiące potrafię oddać te pieniądze? Że może za cztery miesiące zdołam zaoszczędzić 375 tysięcy franków z mojej pensji bankowej która wynosi 35 tysięcy franków – zawołał pan Very i wybuchnął gorzkim śmiechem.
- Przede wszystkim – rzekł dyrektor – nie będzie pan już otrzymywał owych 35 tysięcy franków. Po tym bowiem, co zaszło, musi pan stracić u nas posadę. Rozumie pan przecież, że nie mógłbym zostawić pana, gdyż po prostu... obawiałbym się... A zresztą jest to dla dobra pana...
- Rozumiem doskonale – szepnął urzędnik.
- A jak pan zdoła, w ciągu tych czterech miesięcy, oddać te 375 tysięcy franków – dziś mamy 29 sierpnia – więc do połowy grudnia – w to nie wchodzę. Wiem tylko jedno: ma pan w Lyonie bogatego krewnego. Znam przecież jego konto...

Wstał.

- Chcę zakończyć już rozmowę, która – niech mi pan wierzy – jest naprawdę dla mnie bardzo nieprzyjemna. Tak bardzo pana lubiłem... takie miałem zaufanie... Niech pan zrozumie, że chcę dla pana zrobić wszystko, co leży w mej mocy. Żaden z dyrektorów banku w takiej sytuacji nie postępowałby w ten sposób jak ja. Od razu byłaby policja, śledztwo, skandal, więzienie i takie tam historie... Bronię pana przed tym, chociaż pan nie potrafił obronić się przed pokusami Paryża...

Very roześmiał się nerwowo.

- Żeby to Paryża...
- Ach – przypomniał sobie de Vadatte – prawda, pański urlop w lipcu... Monte Carlo...

Po chwili milczenia dyrektor rzekł zwracając się do urzędnika:

- Wszystko jedno. Pańską rzeczą jest teraz, w przeciągu tych czterech miesięcy, zdobyć pieniądze. Wiem, że jest to trudne, ale nie jest niemożliwe. Pamiętam wciąż o tym pańskim bogatym krewnym. Inaczej wyda się wszystko przed ogólnym szkontrum, jeżeli do tego czasu nie odda pan tych 375 tysięcy...
- Dobrze, panie dyrektorze...

Very wstał, wahał się przez chwilę i nagle dodał:

- Nie... nie 375 tysięcy... Tej wczorajszej sumy nie zwrócę panu teraz. Jeżeli ma pan dyrektor jeszcze choć trochę wiary we mnie i jeżeli pozwala na to pańska naprawdę

niesamowita dobroć, całą sumę – pół miliona franków – będę winien przez te cztery miesiące.

– Jak pan woli. Zgadzam się na wszystko... Chcę pana ratować...

– Spróbuję szczęścia... Dziękuję stokrotnie...

Drzwi za urzędnikiem zamknęły się cicho.

Dyrektor de Vadatte otarł pot z łysiny. Był zadowolony, że minęła ta niemiła rozmowa. Wyjął z szuflady biurka papier firmowy i napisał u góry datę, a pod spodem kilka linijek. Potem z małej karteczki wyjętej z portfela przepisał szereg cyfr.

Wysuszył starannie, złożył i schował.

## Ogłoszenie

Stojąc na platformie mknącego autobusu, można doskonale obserwować uliczny ruch Paryża. Jest to rzecz bardzo ciekawa o ile obserwatorowi nie spieszy się nigdzie i o ile nie drażni go wstrzymywanie ruchu ulicznego na każdym prawie zbiegu ulic.

Młody, elegancko ubrany człowiek wskoczył zgrabnie na platformę autobusu opuszczającego swą stację krańcową pod Gare St. Lazare.

Zapadał słodki zmierzch wrześnie chylącego się już ku październikowi.

Młody człowiek, stojąc na platformie autobusu, głęboko wdychował ciepłe powietrze przesycone benzyną i patrzył na złotą kopułę wielkiego magazynu Au Printemps i precudną, liliowobiałoróżową reklamę Galeries Lafayette. Potem wchłonął go wir placu Opery i podziwiał konduktora, że tak spokojnie i z zimną krwią walczy z ciżbą chcącą dostać się do autobusu.

Autobus mknął szybko po asfalcie, minął Komedie Francuską, zahuczał w ciasnej bramie wjazdowej Luwru.

Potem wieczorna Sekwana w migocie białych i czerwonych lamp mostów i czerwono obramowane światłem proste kontury teatru Sary Bernhardt.

Młody człowiek nacisnął dzwonek umieszczony przy wejściu do autobusu i gdy wóz zatrzymał się, wysiadł na rogu ulicy Vaugirard.

Nie wiedział, dlaczego wysiadł właśnie przy tym bulwarze. W obecnym jego bytowaniu było to wszystko jedno, gdzie wsiądzie czy wysiądzie.

Ujrzał świeży, miły lokal kawiarni de la Sorbonne, przywołujący zielono pomalowanymi ścianami. Wszedł.

Za tych kilkaset franków, które mu jeszcze pozostały, mógł sobie pozwolić na zaspokojenie apetytu czy pragnienia. A potem... nie chciał myśleć o ponurej, a tak już bliskiej przyszłości...

Usiadł i zamówił chłodzący napój. Popijając czerwony płyn, rozpamiętywał ostatnie tygodnie.

– Monte Carlo! – szepnął.

125 tysięcy, które miały mu dać pół miliona dla pana de Vadatte, pomnożyły kapitał kasyna gry w przeciągu kilku dni...

Do kawiarni wpadło nagle czarne, brudne indywiduum, rycząc chrapliwie:

– Journal... Journal...

Paryscy uliczni sprzedawcy gazet mają dziwnie donośne głosy. Nieobyty z Paryżem cudzoziemiec może sądzić w pierwszych dniach swego pobytu w tym mieście, że ma do czynienia z niebezpiecznymi szaleńcami wypuszczonymi z odpowiedniego zakładu i może, zamiast kupić dziennik, wziąć nogi za pas i czym prędzej uciec.

– Journal! – zawołał pan Very.

Kelner, błyszczący wysłużoną łysiną, patrzył już ze zdziwieniem na gościa, który w wieczornej godzinie, gdy kawiarnia jest zatłoczona, siedzi tak długo przy jednym kieliszku i tak spokojnie studiuje sobie gazetę. Ale zdziwienie jego przeszło w niecierpliwość, gdy spostrzegł, że młody człowiek, skończywszy „część redakcyjną”, najspokojniej zabiera się do czytania długich, beznadziejnie nonparelowych kolumn ogłoszeniowych. Jak to długo potrwa?

Nagle...

Pan Very pochylił się nad dziennikiem i przywarł oczyma do ogłoszenia, odcinającego się dwuszpaltowym układem na zalewie „drobnych”.

– 11, rue du Havre – szepnął.

Położył na stole należność i wybiegł z kawiarni.

Łysy kelner uśmiechnął się do napiwku i przebaczył gościowi jego wytrwałe studiowanie dziennika.

Pan Very zbiegł bulwarem do rogu rue des Ecoles. Właśnie tam zatrzymał się autobus. Very stanął znowu na platformie, ale nie widział już „Bulmiszla” ani placu św. Michała, ani Sekwany, ani Luwru, ani Opery...

– Gare St. Lazare – terminus! – zawołał konduktor.

Pan Very wyskoczył i pobiegł w ulicę Hawru, wypatrując numeru 11.

## Precz z kortaklizmem!

Posel de Ronet pogładził mocno spoconą łysiną i wreszcie doszedł do wyraźnej pointy swej dużej mowy.

Nagrzana sala Chambre des Deputes zatłoczona wpatrzonymi weń oczyma była naładowana elektrycznością. Takiej mowy dawno nie słyszały te mury. Posel de Ronet przeszedł sam siebie w elokwencji i odwadze. Mowa była druzgocąca. Wprawdzie wielu faktom podawanym przez mówcę zaprzeczały gorące protesty i sprzeciwy w formie mniej lub więcej obelżywych słów oraz dwu kałamarzy, jednak jasne było, że mowa ta nie minie bez echa i że rząd musi z niej wyciągnąć odpowiednie konsekwencje.

Gdy ustała wrzawa, posel de Ronet odezwał się znowu:

– Kończę...

– Najwyższy czas! – krzyknął posel kortaklistyczny Braunberg, autor wielu słów nawiasowych w dzisiejszej mowie posła de Ronet i jednego kałamarza.

– Powiedziałem już wszystko, co na dziś – na dziś, zaznaczam – miałem do powiedzenia...

– Więcej już pan mówić nie będzie! – ryczał posel Braunberg.

Krzyżowały się słowa. Nowa wrzawa. Trzaskały pulpity.

– I chcę zakończyć dzisiejszą moją mowę okrzykiem, a powinni go powtórzyć za mną ci wszyscy, którym na sercu leży...

– Dobrze wypchany portfel!

– Cicho!

– Milczeć!

– Ty sam milcz!

– ...którym na sercu leży – kończył posel de Ronet – jedyne dobro ojczyzny, jej praworządny spokój – okrzykiem: Precz z kortaklizmem!!!

Co się działo po tej mowie w poważnej sali sejmowej, opisały to już w rozmaitych oświetleniach dzienniki popołudniowe i wieczorne. Nie potrzeba więc podawać opisu tej prawie że bitwy, jaka rozpoczęła się między zacierzewionymi posłami, i bohaterskiej potyczki grupy, chroniącej posła de Ronet w przedsiönku i u bramy.

Spocony, zadyszany, czerwony jak piwonia poseł de Ronet spoczął z westchnieniem ulgi na wygodnym siedzeniu limuzyny.

– Gorąco było – rzekł do towarzyszącego mu posła Mareau.

– O, gorąco – przyznał poseł – obawiam się poważnych skutków...

– Dla mnie?

– Tak...

Poseł de Ronet roześmiał się:

– Nie lękam się.

– Powinien pan być ostrożny...

– Dużo krzyczeli i nic z tego nie będzie. Baliby się. Braunberg odgrażał się za wyraźnie, by mogli gwałtownie wystąpić przeciw mojej osobie.

– Jednak już te dwa kałamarze...

– Chybiły celu. Zresztą i tak nigdy nie ma w nich atramentu. Nie lękam się. Niech pan będzie spokojny, panie Mareau.

– Czy pan jednak nie za gwałtownie?

Poseł de Ronet niecierpliwie podniósł rękę:

– Daj mi pan spokój z tą sprawą. Izba już dawno oczekiwała ode mnie wystąpienia przeciwko kortaklistom na tle ostatnich wydarzeń. Musiałem. A jeżeli już zdecydowałem się, musiałem wykonać to tak, jak właśnie wykonałem. Nic nie lubię robić połowicznie. Wyrąbałem im prawdę i na tym koniec. Jutro będą oni mówili. Napadną na nasz klub, zmieszają nas z błotem. Potem się wszystko uspokoi i ułoży. Tak jest zawsze... Cieszę się, że spełniłem swój obowiązek względem partii.

Poseł de Ronet cieszył się cały dzień. Wieczorem o szóstej zjadł z apetytem obiad i popijając małągę marzył o możliwościach, jakie otwierała mu dzisiejsza mowa.

Siedział w swym gabinecie i palił cygaro, jak zawsze po obiedzie. Tę część dnia miał tylko dla siebie. Ani polityka, ani żona nie targwały mu wygodnego spokoju jego zacisznej pracowni w tej poobiedniej porze.

Marzył. Na jego łysinie lampa elektryczna rysowała bladoliliowe smugi, których blask oprószał dostojną głowę jakby aureolą przyszłych zaszczytów.

Aureolę tę przerwał dźwięk dzwonka telefonu.

Poseł de Ronet wstał z fotela i zdjął słuchawkę. Usłyszał pytanie:

– Czy pan poseł?

– Przy telefonie.

– Dobry wieczór.

– Kto mówi?

– Jak to, nie poznaje pan mojego głosu?

Poseł nie poznał głosu brzmiącego w jego uchu zupełnie obco. Odpowiedział:

– Nie... coś telefon dzisiaj źle odbiera...

– Przecież to ja, Mareau.

– A, dobry wieczór, panie kolego. Naprawdę, muszę zaraz zatelefonować na pocztę. Od wczoraj wieczorem coś się zepsuło w moim aparacie. Głos dochodzi słaby i zaciemniony. Czym mogę panu służyć?

– Nie mnie tylko. Także kolega Croix, Rachtet i Vernon.

– O, cała nasza paczka! Więc czego chcecie?

– Pana!

– Mnie? – zaśmiał się poseł de Ronet. – Rozmówka polityczna przy winku, co?

– Tak. Więc zgadza się pan? Należy przecież oblać dzisiejszy triumf?!

– E, co tam za triumf – rzekł skromnie poseł de Ronet.

– Prawdziwy triumf! Pan jeszcze nic nie wie?

– O czym?



– O naradzie kularowej dwu partii...  
– Jakiej naradzie? Jakich partii? Nic nie wiem!  
– A więc przyjeżdżajże pan jak najprędzej! Stos nowin!  
Poseł de Ronet płońął z ciekawości.  
– Jadę natychmiast. Dokąd?  
– „Café de la Paix”, mały gabinet na pierwszym piętrze.  
– Jestem za pięć minut.  
– Jeszcze jedno. Posłaliśmy po pana auto. Musi już być przed pańską bramą.  
– Dziękuję! A więc za pięć minut!  
Poseł de Ronet powiesił słuchawkę, pełen rozkoszy. Triumf. Narada kularowa! Dwie partie!  
W tej chwili usłyszał sygnał oczekującego już przed bramą auta.  
Wybiegł z gabinetu i zawołał do żony:  
– Idę – ważne posiedzenie w łonie klubu – triumf – narada kularowa – dwie partie – dobranoc!  
– Gdzie?  
– W „Café de la Paix”. Mareau telefonował po mnie. Gabinet na pierwszym piętrze.  
Czekają tam na mnie koledzy Croix, Rchet i Vernon.  
Pani de Ronet pocałowała mądrą łysinę na dostojnej głowie.  
– Idź wykuwać swą nową ideę, tylko mi się nie upij!  
Poseł de Ronet był już na schodach.  
Przed bramą czekało zamknięte auto. Szofer stał na trotuarze.  
– Po mnie, prawda? – zapytał poseł.  
– Do „Café de la Paix”? – odpowiedział pytaniem z uprzejmym uśmiechem szofer z długą, czarną brodą.  
– Tak jest.  
– Proszę, panie pośle.  
Szofer z długą czarną brodą otworzył drzwiczki auta. Ktoś siedzący wewnątrz podał posłowi rękę. Drzwiczki zatrzasnęły się szybko. Auto ruszyło.  
– Panie?  
Poseł wpatrywał się zdziwiony w twarz swojego towarzysza. W półmroku widział tylko dużą czarną brodę i czapkę zsuniętą na oczy.  
Nieznajomy milczał, nie puszczać z twardego uścisku ręki posła.  
I nagle przebiegła przez mózg posła cała panorama dziwnych rzeczy – i równocześnie ogarnął go straszny niepokój: zmieniony głos posła Mareau... szofer z długą czarną brodą... nieznajomy z długą czarną brodą...  
Chciał wyrwać rękę, ale uścisk nieznajomego stał się żelazny.  
Poseł otworzył usta, ażeby zawołać o ratunek. Pewny już był, że zaproszenie przez kolegów z klubu było tylko mistyfikacją i że stał się nieszczęsną ofiarą zemsty kortaklistów za dzisiejszą mowę w parlamencie.  
Ale nie zdążył wypowiedzieć ani jednego słowa, gdyż nieznajomy widząc, że poseł chce krzyknąć, puścił jego rękę i błyskawicznym ruchem zarzucił mu na twarz jakąś miękką materię. Poseł chciał się bronić, ale nie mógł. Nie mógł poruszyć ani ręką, ani nogą. Omotał go ten dziwny zapach, który musiał wdychać, aż zapadł w sen.  
Nie widział już, że auto przemknęło koło Opery i wcale nie zamierzało zatrzymać się przed jasno oświetloną kawiarnią „de la Paix”.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI